

Niecierpliwość, którą każdy wiersz jest podszyty, a która wynika chyba ze świadomości smutnej skończoności, jest charakterystyczna również dla całokształtu tomiku. Wystarczy przejrzeć tytuły, by się przekonać o wyrywkowości tematycznej, którą spaja nierzadko jedynie osoba podmiotu. Mamy tutaj do czynienia z ekfrazą poetycką, refleksją nad stanem życia literackiego, lekcją retoryki, wreszcie z refleksją religijną. W rezultacie odnosi się wrażenie, że to zapis odpowiedzi na pytania z przebiegu całego życia.

Rozstrzygnąć wątpliwości, w jakim stanie ducha czy materii znajduje się podmiot, nie sposób. Charakterystyczna dla jego postawy oksymoroniczność pozostaje jedynie zauważonym faktem, nic z tym się nie da zrobić. Na podobnych zasadach jest chyba tutaj scharakteryzowane istnienie – jako epizod.

Liskowacki zwraca również uwagę na nieprecyzyjność języka. Jego ulubionym „kruczkiem” jest podwójne zaprzeczenie. W rezultacie w wierszach znaczenie wyrażenia „nie zrobiłeś nic” jest równe stwierdzeniu „zrobiłeś coś”. Ledwie czytelnik zdoła się z tym uporać, a już się okazuje, że wobec upływającego czasu nie ma to żadnego znaczenia.

Trudno powiedzieć, żeby lektura „Po sobie” była łatwa i przyjemna. Jak każdy poeta lingwistyczny, Liskowacki oczekuje od odbiorców wielkiej trzeźwości umysłu, co nie jest proste, gdy ma się do czynienia z płątaniną wspomnień i fantasmagorii. Trudno zresztą mówić o konkretnym podziale na rzeczywiste i nierzeczywiste, ponieważ świat w tym tomiku traci w tej chwili właściciela. Siłą rzeczy zatem nie znosi biegunowości. I właśnie dlatego ją znosi.

**Joanna Żabnicka**

## Miejsce na prywatną herezję

Krzysztof Dorosz i Stanisław Obirek  
**Między wiarą a Kościołem. Listy o poszukiwaniu drogi**  
Czarna Owca  
Warszawa 2010

Od dawna epistolografia zanika. Wydawałoby się, iż jest już anachronizmem, choć zdarzają się przypadki, że listy stają się literackim pretekstem formalnym, ale same właściwie przestały być twórczością. Aż tu Krzysztof Dorosz i Stanisław Obirek piszą „Między wiarą a Kościołem. Listy o szukaniu drogi”. Sięgając po taką formę rozmowy na odległość, pozostawia się czas na refleksję, czeka na oddźwięk partnera (ostatecznie mógłby to być tylko wdzięczny odbiorca treści, ale nie w tym przypadku), bez którego nie byłoby dialogu, i dysputa nie jest skazana na jałowość. Jerzy Sosnowski swoją przedmowę za tytułował „Gorące pytania”; i rzeczywiście są gorące – bo dotyczą spraw egzystencjalnych i ostatecznych, wychylających się poza obszary empirii, a także „gorące” – bo padają w naszej katolickiej Polsce, ale temperatura ich artykułowania jest już tylko pokojowa. Tak więc ekstraktem ich 2-letniej korespondencji są bardzo intymne przemyślenia, o których tak rzadko się mówi w życiu – śmiertelnie poważna zaduma nad wiarą, Kościołem, dogmatami, a przede wszystkim nad postacią Jezusa Chrystusa. +

Mistrz z Nazaretu spytał kiedyś swoich uczniów, za kogo go ludzie uważają. Odpowiadali jeden przez drugiego. A kiedy zapytał: a wy za kogo mnie uważacie? – zamilkli. Odpowiedział tylko jeden. Żeby na pierwsze pytanie odpowiedzieć, niepotrzebny jest żaden wysiłek, mądrość czy doświadczenie (chodzi tylko o powtórzenie zdania innych). Na drugie pytanie bez dojrzałości odpowiedzieć się nie da. I właśnie to ewangeliczne a za kogo wy mnie uważacie? jest jednocześnie osnową dialogu i głównym źródłem sporu między naszymi interlokutorami. Eksjezuita Stanisław Obirek, odkrywając Jezusa z Nazaretu i jego żydowskość, rewiduje swoje chrześcijaństwo i katolicyzm, rewiduje formułę Chalcedońską, by się ostatecznie nie godzić na podział monoteizmu na trzy religie Księgi. Broni się przed boskością Chrystusa, którą kojarzy z absolutyzmem swojego Kościoła, pragnie się skupić na Jego ludzkiej twarzy: **Ja obsesyjnie szukam Jezusa historycznego i próbuję do Niego dotrzeć [...] Przekonuje mnie metodyczne wątplenie i ufam, że tą właśnie drogą dotrzemy do Niego. Odrzucam istniejące teorie po to, by szukać tej właściwej. On jest jak „znikający punkt”, a przy tym tak bardzo ważny, bo bez Niego próżna byłaby moja wiara. Dla Krzysztofa Dorosza, zrzeszonego w środowisku Kościoła ewangelicko-reformowanego, najważniejsza pozostaje synteza *dividum* i *dominum*, bóstwo Jezusa, bez którego pozostaniemy zamknięci w świecie humanizmu, dawno już pozbawionego rozmachu i nadziei, humanizmu z „wybitymi zębami”, w którym ludzie nie widzą ani Boga, ani samych siebie i gdzie gotowi jesteśmy zapomnieć, że źródłem i początkiem wszechświata jest Bóg, że boski Logos przenika wszechświat, a człowiek pozostaje zawsze w drodze do Boga.**

Rozbieżność odpowiedzi to wynik głębokiej refleksji, rezultat wiary dojrzałej i przemyślanej, wiary, która naznaczona jest teologiczną pasją

i entuzjazmem. Obirek czuje się zmęczony pewnością i autorytatywnym przymusem chrześcijaństwa, które uważa, że posiada pełnię wiary. I przywołując wydaną przez Kongregację Nauki Wiary „Deklarację o jedności i powszechności zbawczej Jezusa Chrystusa i Kościoła «*Dominus Iesus*»”, konstatuje, że był to punkt zwrotny w jego relacjach z Kościołem. Czterdzieści lat po II Soborze, po deklarowanej chęci prowadzenia intensywnego dialogu ekumenicznego język „*Dominus Iesus*” przepelnia konfesjonalizm, ekskluzywizm, daleko mu do języka, który wyraża nadzieję i wyznanie. To **głos władzy, czasem bezwstydnej i bezlitosnej, która innowiercom i heretykom funduje krucjaty i inkwizycję, to głos Kościoła, który przestał być tylko przestrzenią subtelnej myśli odziedziczonej po Grekach, Kościoła, który nie radzi sobie w nowym, globalnym sąsiedztwie innych religii i źle się czuje w towarzystwie niewiary. Więcej – to głos instytucji, która wzięła górę nad wiarą, i jej pychy [...], która zapanowała nad Bogiem. Jego sprzeciw jest reakcją wrażliwego sumienia – jest nakazem moralnym i religijnym wymierzonym przeciw idolatrii, w którą popada Kościół i jego doktryny. Teologowie, fundując nam skostniały wizerunek Boga, wsparty ich instytucjonalną władzą, przede wszystkim wymagają od wiernych posłuszeństwa, a potem dopiero rozumienia. I na to eksjezuita zgodzić się nie może. Inny jest punkt wyjścia Dorosza, byłego ateisty, który w swoim Kościele odnalazł miejsce łączności z Bogiem, gdzie się promuje, jak pisze, relacje człowieka z Bogiem, gdzie wiara nie jest prostym przyjęciem spadłych z nieba i opracowanych przez Kościół twierdzeń, lecz otwarciem ludzkiego serca na Boga. Trafność swojego wyboru potwierdza słowami: Tam człowiek staje naprzeciw Bogu bez pośrednictwa instytucji i jej kapłanów, tam obowiązuje go wprawdzie posłuszeństwo, ale tylko Jemu i tylko w wolności hojnie nam przezeń ofiarowanej, tam działanie etyczne nie wypływa z kodeksów ustalonych przez**

teologów moralnych i kościelne władze, lecz z wiary, ufności i bezpośrednio do mnie kierowanych nakazów Boga.

Nasi epistolarni rozmówcy konstatują przede wszystkim religijność w wymiarze prywatnym, nieraz podszytym zwątpieniem, doświadczeniem błędzenia, świadomością kruchości wiary, w której Bóg się pojawia i z której wymyka. To wiara żywa. Nasze życie w swym codziennym, praktycznym wymiarze i znaczeniu bywa główną przyczyną i przeszkodą w walce z uporczywością aporii, eschatologicznym niepokojem (przecież chodzi o moją przyszłość w zaświatach). Nasuwa mi się nieodparta chęć pytania: czy ten, kto sam przed sobą ukrywa zwątpienie, nie traci w gruncie rzeczy poczucia bezpieczeństwa? Aby zrozumieć ludzi słabej wiary, potrzebna jest odwaga jej zrozumienia. Przecież największe tajemnice wiary wymykają się łatwym wyjaśnieniom, a powoływanie się na niedoskonałość ludzkiego języka nie przybliży nas do Boga ani o krok. Jak poucza Dorosz w liście inicjującym: **Człowiekowi wierzącemu nie godzi się, a nawet nie wolno pochopnie odrzucać rozumu; nie wolno mu też oddawać tajemnicy teologicznej i kościelnej ekspertom [...]. Z tajemnicą trzeba umieć żyć; godzić się na jej istnienie, mieć świadomość, że nigdy jej nie zgłębimy, jest przecież nieskończona, [...] musimy z nią walczyć jak Jakub z aniołem, musimy wydrzeć jej błogosławieństwo, choć byśmy mieli w tej walce odnieść obrażenia. Tajemnica przeznaczona jest do kontemplacji, w której bierze udział intuicja, rozum, uczucia i nasze ciało. Nie możemy ustać w poszukiwaniu, wszak nie jesteśmy ludźmi ostatecznego widzenia prawdy. Ostateczne zdumienie w obliczu Tajemnicy odłożone jest na później – tak mówi chrześcijańska nadzieja. Samodzielne myślenie, „doktrynalne medytacje”, próba zgłębienia Tajemnicy na własną rękę – to być może najprostsza, choć pewnie i najbardziej kręta droga do Boga.**

W lekturze korespondencyjnego dialogu możemy znaleźć wskazówkę dla tych religijnych wrażliwców, którzy porzucili chrześcijaństwo, ale w głębi duszy nie odrzucili Boga, i wszystkich tych, którzy mają w sobie *sensus divinitatis*. Trzeba odrzucić wrażenie, że [...] skrywa się jeszcze trwałe przekonanie, że poza Kościołem nie tylko nie ma zbawienia, lecz także religii i wiary. I może dlatego błąkają się oni (zagubieni) niespokojnie między katolicyzmem a świeckim humanizmem, może dlatego w ich sercach słychać dramatyczne „albo, albo”. Ale tak być wcale nie musi: alternatywą powinna być próba zrozumienia własnej wiary, wsłuchanie się w nią, otwarcie się na niepojętego Boga. Z opublikowanego zbioru listów wyczuwam, że jest gdzieś jakieś miejsce środkowe, gdzieś pomiędzy wiarą a ortodoksją Kościoła, jakieś być może nieskolonizowane obrzeża katolicyzmu (tak bliskie Obirkowi). Miejsce na naszą prywatną herezję (zresztą czy to, co tak łatwo określa się mianem herezji, jest nią istotnie?) – na nasze osobiste, bezpośrednie szukanie drogi do Boga, na spotkanie *face to face*. Bo jak mówi chasydzka mądrość: Bóg jest tylko tam obecny, gdzie wpuści go człowiek.

**Jolanta Grzegorska**